Rok VI. Myślenice, 18 marca 1938. Nr. 3.

GŁOS MŁODYCH

ORGAN GMINY SZKOLNEJ PAŃSTWOWEGO LICEUM i GIMNAZJUM im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI w MYŚLENICACH.

Marszałkowi Polski

Edwardowi Śmigłemu Rydzowi

w Dniu Imienin

w hołdzie i miłości

wiązankę skromnych swych prac

poświęca

Młodzież Państwowego Liceum i Gimnazjum

im. Tadeusza Kościuszki

w Myślenicach.

Wodzu Ukochany!

Dzień Twoich Imienin jest dla nas, młodzieży polskiej, w której przyszłość widzisz Narodu — wielkim świętem!

W dniu tym nasze młode, nieskażone niewolą serca, jakże gorąco biją do Ciebie, Marszałku! Chcą ci dzisiaj powiedzieć wszystko! Chcą Ci powiedzieć o naszym gorącym umiłowaniu wielkiej i świętej Sprawy, której Ty jesteś orędownikiem, o ukochaniu naszej Ojczyzny. o przywiązaniu do armii naszej, na której czele stoisz Ty, Wodzu, chcą złożyć Ci ślubowanie wierności i posłuszeństwa.

Czy słyszysz Wodzu zgodny rytm serc naszych?

Wszystkie mówią jedno: chcemy pracować ze wszystkich sił dla potęgi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej pod Twoimi rozkazami!

Wszyscy staniemy do pracy, aby „podciągnąć Polskę wzwyż". Silne są nasze ramiona, do najcięższej gotowe pracy, chcemy być współtwórcami teraźniejszości i przyszłości naszej Ojczyny.

Jakież w dniu dzisiejszym mamy Ci złożyć życzenia, Wodzu ukochany?

Proste nasze i szczere dusze z prawdziwym realizmem czytają pokręcone hieroglify najnowszej historii.

Wziąłeś na Swe barki trud wielki ale święty. Prowadźże dalej szczęśliwie naród nasz do wielkości i zwycięstwa. Zmaż wspomnienia niewolnych czasów, zmaż wspomnienia dawnych kordonów, uczyń jeden, wielki i silny Naród polski, zdolny do największych poświęceń! Niech znikną z jego życia małostkowe swary i niewiara. Naród polski nastaw, Marszałku, na nowy współczesny styl życia. Naród tysiącletnią mający tradycję i wspaniałą historię, musi wśród narodów zająć należne mu pierwszorzędne miejsce.

Niechaj dzieło Wielkiego Marszałka rozrasta się pod Twą wodzą i potężnieje, szczęsny Jego Dziedzicu!

My, młodzież polska, ślubujemy Ci w pracę nad umocnieniem potęgi militarnej Polski i podniesieniem jej kultury duchowej i gospodarczej wnieść cały zapas naszych młodych sił, cały zapas naszych młodzieńczych serc. Pielęgnując w duszach naszych spuściznę narodowego bohaterstwa, pragniemy być mocarnym ramieniem Polski i jej sercem gorejącym.

Tak nam dopomóż Bóg!

Zofia Broszkiewiczówna (I. lic.)

Wódz.

Szlakami Chrobrych wiodłeś swoje szyki
Nad brzegi Dniepru—hen—w ów kraj daleki,
Kędy Mohort stary czujnie stał na straży,
By na ziemie polskie nie wpadł Tatar wraży.

Witał Cię Kijów — oczeretów szumy,
Cichych kurhanów ukraińskich dumy,
Witały Cię pola naszych ojców chwały
I znów jak ongiś — straże larum grały.

Na „Dzikie pola" wiodłeś szare woje,
Na bój za wolność i na twarde znoje.
I nie łoża magnackie udziałem Wam były,
Lecz ziemia czarna, bezkrzyżne mogiły.

Gdy się chmurzyło od wschodniej granicy,
Krzyk runął groźny: „Idą bolszewicy!"
Wstał polski żołnierz na wiślanym wale
Z nim Józef Piłsudski — i Ty Generale!

Próżno wróg nacierał na szańce Warszawy,
O Wasze piersi skruszył się wał krwawy.
„On" Ciebie wybrał z żołnierzy tak wielu,
Gdy sam szedł spocząć w trumnie na Wawelu.

Dziś w Polsce całej głośno grzmią fanfary
I do stóp Twoich chylą się sztandary.
Ojczyznę miłą prowadź nam ku chwale,
Żyj nam Marszałku — Wodzu — Generale!

Renata Hirkawska (VIII.)

Mundur a serce.

Miarowym równym krokiem suną zwarte kolumny. To idą polscy żołnierze! Szare mundury zbliżają się, łopocą na wietrze sztandary, lśni i migoce w słońcu srebrzysty orzeł. Idą czwórki za czwórkami, kolumny za kolumnami — piechota. Dudnią o bruk kopyta koni, a z dali dochodzi głuchy turkot kół i chrzęst broni pancernej. A w górze lśnią w słońcu skrzydła eskadr lotniczych. Wszyscy w szarych mundurach żołnierza polskiego.

Obrazek taki od niedawna oglądają oczy polskie. Bo jeszcze ćwierć wieku temu widać było naszych rodaków w znienawidzonych

mundurach zaborców. A chociaż mundur zaborczy okrywał pierś Polaka, biło tam jednak serce gorące, miłością dla uciemiężonej Ojczyzny wezbrane. I chociaż mundur ten hańbił, to jednak nigdy nie zdołał wynarodowić wiernego syna Polski.

A gdy wybiła godzina dziejowa, spadły obce godła — a nad garstką szaleńców, idących przelewać krew za świętą sprawę, załopotał biało-czerwony sztandar. I przywdziali niebieskie mundury, zabłysły srebrzyste orły — a z tysiąca piersi zagrzmiała pieśń zwycięska „Jeszcze Polska nie zginęła". Pieśń ta dotarła wszędzie, brzmiała w górach, w niedostępnych kniejach i echem niosła się nad Bałtyk.

Z garstki szaleńców urosła potężna armia. A gdzie zjawił się szary ukochany mundur, gdzie błysnął biały orzełek, serca nasze biły przyśpieszonym rytmem a z piersi wyrywał się okrzyk: „Żołnierz polski niech żyje!"

Z trudu i znoju garstki szaleńców powstała Wielka Niepodległa Polska, by żyć. Jej armia o tak drogiej sercu polskiemu tradycji musi budzić uczucie dumy i miłości. Ten szary żołnierz — to gwarancja całości naszych granic i bezpieczeństwa, to symbol poświęcenia i wierności dla Ojczyzny. Żołnierz walczy i żyje dla wszystkich, żołnierz polski cierpi i umiera za Ojczyznę.

Żołnierz polski ocalił honor Polaków i zaprzągł wszystkich do pracy dla wielkiej przyszłości państwa.

Więc zawsze mundur żołnierza będzie budził w sercu Polaka wspomnienie chlubnej przeszłości i walk bohaterskich oraz uczucie gorącej miłości.

Jerzy Udziela (IV.)

Defilada.

Miarowy, potężny, żołnierski krok —
raz, dwa, trzy, cztery— —raz, dwa— —
Szare wstęgi ulic falują morzem głów,
tłum patrzy i podziwia.
A środkiem płynie żywiołowa rzeka—
karne szeregi w zgodny takt rozkołysane
marszem orkiestry radosnym, zwycięskim,
w powodzi kwiatów ledwo rozkwitniętych,
barwami wszystkimi roztęczonych.
Idą zwartymi ósemkami...
Raz, dwa, trzy, cztery— —raz, dwa— —

Tłum szaleje...
Rozszerzony wzrok wpija w rozsrebrzoną
słońcem stal,
w las śmiercionośnych karabinów,
w stalowe paszcze armat potężnych,
w jękiem motorów rozdrgane kolumny
nowej Polskiej Armii!
A serca w takt biją...
raz, dwa, trzy, cztery — — raz, dwa — —
Chłopięce oczy żołnierzy się śmieją
do tłumu rozentuzjazmowanego,
do wiosennego słońca,
do Wodza.
Ślizgają się po spółtowarzyszy głowach,
co z fantazją w takt się poruszają...
raz, dwa, trzy, cztery — — raz, dwa — —

A Wódz patrzy...
Jego wzrok pieści śmigłe, junackie postacie,
igra po spalonych wichrem twarzach
i spoczywa na pędzących ułańskich szeregach.

„Baczność! Na prawo patrz!"
Grzmot kroków nóg młodych i zdrowych
rośnie, potężnieje, w sklepieniach dzwoni
domów...
raz, dwa, trzy, cztery — — raz, dwa — —

I serce wodza rośnie.
Uśmiech rozjaśnia twarz rozpromienioną,
co zdaje się wspólny czuć miarowy rytm
kroków i rerc...
Raz, dwa, trzy, cztery — — raz, dwa — —

Wład. Sala (VIII.)

W 18-tą rocznicę odzyskania morza.

(przemówienie wygłoszone na poranku szkolnym w dnu 10. lutego 1938).

W dniu 10. lutego 1920 r. załopotała na wietrze Bałtyku po raz pierwszy polska bandera. Po raz pierwszy po tylu latach to odwiecznie polskie wybrzeże ujrzało znów polskie mundury, a gromkie echa poniosły w kaszubskie lasy i hen na morze grzmot polskich dział i melodię mazurka Dąbrowskiego.

Pamiętna to chwila dla narodu polskiego.

Po półtorawiekowej niewoli, wśród śmiertelnych zmagań narodów wyrosła wolna i niepodległa Polska, Polska okupiona śmiercią tysięcy i wywalczona bohaterstwem swych synów pod wodzą Józefa Piłsudskiego.

Na mapie Europy wykrojono granice państwa polskiego wraz z wąskim odcinkiem Pomorza, prowadzącym do kilkudziesięcio-kilometrowego skrawka wybrzeża. Więc w trakcie jeszcze zawieruchy wojennej, w ogniu walk z Ukraińcami i bolszewicką Rosją i w nawale spraw wewnętrznych — przygotowywała się Polska do objęcia Pomorza i morskiego wybrzeża. Dzień 18. stycznia 1920 r. był dniem, w którym naród polski przeżył z wielkim wzruszeniem pierwsze uderzenie „wiatru od morza“. W dniu tym wojska polskie wkroczyły triumfalnie do Torunia, który stał się stolicą polskiego Pomorza. — 10. lutego zaś polski żołnierz dotarł do brzegu Bałtyku i objął go w posiadanie.

Spełniły się marzenia. Polska stanęła znów na swoich starych ziemiach i trwać tutaj będzie!

I zadrżały serca żołnierzy polskich na widok wyśnionego szumiącego Bałtyku i załkali z radości Kaszubi na widok polskich mundurów! Załopotały proporczyki na lancach polskich ułanów, wjeżdżających za generałem Józefem Hallerem w morze. Orkiestra zagrała polski hymn narodowy. Z ręki generała Hallera wyrwał się złoty pierścień i padł we fale Bałtyku na znak ponownych zaślubin Polski z morzem — na znak powrotu Rzeczypospolitej na stałe nad „swoje morze“.

Duchowni poświęcili pierwszą polską banderę morską, dla której nie było jeszcze okrętu. Wyciągnięto ją na maszt, by rozejrzała się po morzu, które będzie jej królestwem. Chorążowie pochylili sztandary. Po wojennym chrzcie krwi — chrzest morski... Przecież to prawie woda święta, o mocy cudownej, która uleczyła naszą wielką za morzem tęsknotę. Na morze wyjeżdża rybacka łódź, barka Jana Kąkola IV., rybaka z Pucka. Do niej, jakby do pierwszego O. R. P. wsiada generał ze swą świtą. Dziewczęta kaszubskie sypią do łodzi marki złote i srebrne: „Na wojsko polskie — racz przyjąć Generale!“ Prawda — to ślub, jak w czasie oczepin składa się pieniądze na wyprawę panny młodej. „To na posag morskiej Polski, na początek morskiego gospodarstwa.“

I zarumieniła się chyba wtedy z uciechy Panna młoda, bo te marki, z dobrego serca dane, fortunę wielką wróżą... Płyń po Bałtyku barko Jana Kąkola — wieziesz Polskę i Jej szczęście!!..

Odtąd rozpoczyna się twarda, realna praca, praca na morzu. O kilkanaście kilometrów na wschód, gdzie rzucono pierścień w morze, zaczęto rzucać kesony. Dawniej był tu tylko wicher, niesforny postrzeleniec — wicher ujęto w karby, w cudzysłowy i... ustatkował się, stał się „statkiem", „Wichrem". Zabrano niebu „Burzę" i piorunom „Iskrę". Powstaje flota wojenna.

Przyszli na wybrzeże ludzie o nagich torsach. Warknęły motory, zasyczał tlen. Żelazo zlewało się z betonem. Rósł port. Budowano Gdynię w słońcu, w poczuciu przestrzeni...

Gdynia dnia dzisiejszego... Miasto, które z miłości wielkiej powstało i ma w sobie to piętno miłości. Miasto, które z woli narodu powstało, miasto, które przed 18 laty było tylko marzeniem.

I szeroko otwierają się oczy wszystkich na widok tego miasta, co jakby z piany morskiej wyrosło. Cudny ten twór — ta perła polskiego skarbu narodowego, duma i chluba pracy rąk polskich — wróży promienną przyszłość dla Rzeczypospolitej.

Coraz dalej sięgają łamacze fal. Kesonami niby słupami granicznymi zakreślamy nasze posiadanie. I coraz większy obszar morza obejmujemy kamiennym, mocnym uściskiem ramion.

Kamienny wał wchodzi coraz głębiej w morze — morze wchodzi coraz głębiej w ląd... Wzajemny uścisk coraz silniejszy. Czy przyjdzie kto, by go rozerwać?? — Niech wyrwą z kamiennej podstawy dźwigi, które wrosły w wybrzeże, niech oderwą drągi od dna morskiego, niech wyrwą latarnię, w noc morzu świecącą, niech ludowi kaszubskiemu wyrwą serca!

Miliony rąk wyciągnęły się ku morzu. Nie oderwie nas nikt, bo w związku z naszym morzem prawdę i miłość odwieczną widzimy. Gdy patrzymy na morze, spokój nas ogarnia. Jest w przypływie i odpływie fal stałość postanowienia powziętego od wieków.

Morze wybija takt... idą fale i kłaniają się wybrzeżu a potem odchodzą. Odchodzą, aby powrócić...

Myśmy wrócili nad Bałtyk, aby już nie odejść.

W dusz naszych głębi złożyliśmy ślub, że nie odejdziemy!!

Z. Broszkiewiczówna (I. lic.)

Dumne łopocą sztandary...

Dumne łopocą sztandary
W wiatru wiosennych podmuchach,
Radosne grając fanfary —
A Polska cała ich słucha.

Spiżem dziś dzwonią dzwony
Przez wszystkie miasta i wioski,
Mocarne wciąż płyną tony,
W hymn się zlewając radosny.

W zgodny rytm serca biją,
W nich krew pulsuje gorąca,
Jakgdyby chciała wytrysnąć
I w jedno złączyć się serce.

A z duszy pieśń się wyrywa
I gromki krzyk w niebo bije
I gdzieś się w słońcu rozpływa:
„Armia polska niech żyje!"..

Dumne łopocą sztandary
W wiatru wiosennych podmuchach,
Radosne grając fanfary,
A pieśni tej Polska słucha:

„W górę orle! Hen w błękity,
Kędy słońce rozgorzałe
I jako śnieg srebrno-białe
Topi w blaskach skalne szczyty,

Tam! Na bezkresne przestworza
Jako kropla rosy czyste
I ogromem przeźroczyste,
Jak bezwodne, straszne morza,

Co im granic nie zakreśli
Ni podniebny ptak skrzydlaty
Ni bajeczne mózgów światy,
Ani strzała lekkiej myśli —

Co choć złotem wyzłocone,
To nie złote ale sine
I tak lodowato zimne,
Chociaż żarem wypieczone.

Tam ci orle! Na swobodzie
W toni nurzać białe skrzydła
Niespętane w więzów sidła.
Tam ci orle! W górne loty

Ponad polskiej szarej niwy
Szkarłacone łanów grzywy
Krwią purpurną. Spójrz jej w oczy!
Polsce stamtąd w oczy spójrz!

Potem hen Ją w słońce powiedź,
By się stała mocarstwową,
Pośród wieków niezgonioną —
A więc w słońce! Wzwyż!!"

Władysław Sala (VIII.)

Żołnierz-poeta.

...Nie czas marzyć, nie czas śnić,
I w bezczynnym smutku trwać,
Trzeba pęta hańby rwać,
Walczyć musi, kto chce żyć!...

Takie słowa mocne, z których każde jak grot rzucone w przestrzeń, znalazło oddźwięk w sercach Polaków, wypowiedział Rajmund Bergel, żołnierz-poeta.

Był profesorem języka polskiego w naszym Zakładzie i uważam za obowiązek poświęcić Mu kilka słów, zwłaszcza że zachowałam dla Niego jakąś dziwną cześć, która pogłębiła się jeszcze po przeczytaniu i zrozumieniu Jego poezji.

Leży przede mną tom p. t. „Czasy i ludzie". Widzę kolumny liter równe, skromne, w karne wyciągnięte szeregi... Litery rosną, olbrzymieją i o dziwo... zmieniają się w oddziały żołnierzy, którzy patrzą w twarz swego wodza, słuchają rytmu uderzeń jego serca, czytają z oczu rozkazy... Wódz rękę podnosi — szabla w słońcu błyska — a szare kolumny idą w bój... — Znikają żołnierze... widzę znów tylko czarne litery, które ręka jednego z nich wysyła na podbój ducha. Tchnął w nie całą swą duszę, kazał im wypowiedzieć to, co czuły serca żołnierzy, idących w bój za wolność.

Pierwszy tom swych poezji poświęcił Rajmund Bergel pamięci poległych i wspomnieniu żyjących towarzyszów broni.

Zaczyna je modlitwa do Polski. Modli się poeta do Polski serca ciszą i bolem, bo całą ją zasłały groby, a zamiast „dawnej królewskiej purpury" ma „płaszcz z pożogi i z krwi rubiny zamiast klejnotów". Ale wierzy, że znów kiedyś zabłyśnie Polska kwiatami,

że „wrócą ptaków gromady" i „bory rozszumią się śpiewem". „Więc serca nadzieją się modli".

Czyż można lepiej oddać wielką miłość do ojczyzny? Te słowa to cała głębia bolu, to głos wszystkich lecący do Polski, co przez cierpienia tysięcy stała się świętą, co przez wiarę — została wolną.

O tę wolność wzywa poeta do walki „hufiec wybrany" we wierszu p. t. „Nad wami orły legionów". Woła, by niewoli targać pęta i śpiące budzić orkany, bo ojczyzna w potrzebie, bo na nich wzrok milionów, a do boju powiodą ich orły legionów.

Inne wiersze poświęcone są bitwom i potyczkom, w których brał sam poeta udział lub też, gdzie żołnierz polski okrył się nieśmiertelną sławą bohaterstwa. Najwięcej utkwił mi w pamięci wiersz p. t. „Na śmierć i życie", poświęcony drugiemu szwadronowi ułanów za rokitniański bój.

Rotmistrz przeczytał rozkaz, spojrzał po swej wiarze, ale z ich młodocianych twarzy wyczytał moc kamienną i groźny tłumiony wybuch. Gdy krzyknął:

...Widzicie te wzgórza,
Skąd się wrażych okopów pas czarny wynurza?
Tam mamy przejechać po karkach Moskali,
Zdobyć szańce i polec. Niechby znów poznali,
Co znaczy polska szabla i co ułan znaczy.

Nim skończył, porwał się szwadron jak burza i poprzez grad kul na spienionych rumakach rwie naprzód. Wdarli się na okopy. Z piersi żołnierzy krzyk się podnosi: „Polska, Polska żyje!" Bój się rozpoczął zażarty. Nie słychać nic prócz szczęku broni, strzałów, zgiełku i wrzawy wielkiej. Nagle cisza. Plac wolny.—Resztki walczą, lecz ciała polskich bohaterów zaścieliły ziemię. Bohaterzy polegli. Wiedzieli, że idą na pewną śmierć lecz spełnili rozkaz. Nazajutrz nie dojrzano wroga — pierzchnął.

Gdy czyta się ten wiersz, ma się wrażenie, że się słyszy tę walkę, że widzi się te siwe mundury, czuje się, jak biją serca żołnierzy. Cała potęga żołnierskiego poświęcenia, pogarda śmierci i siła ducha przewyższająca siły fizyczne — oto rysy tej garstki zapaleńców. Gama słów tak ułożona, że każde z nich inny ton oddaje a razem tworzą harmonię i z całą siłą i żywotnością stawiają nam przed oczyma pole walki — oto cechy wierszy Rajmunda Bergela.

Dalszy cykl to listy pisane do ukochanej z pola bitwy. Spowiada się ze swej miłości do niej, przypomina sobie te chwile, gdy była wiosna, gdy kwitły róże. Może ona wróci pierwsza tam do jego rodzinnych stron, on musi trwać na stanowisku, nie wolno mu zejść. Ileż takich listów wędrowało z okopów do wsi i miast, ileż łez padało na te kartki pisane w huku dział, z oczu matek, sióstr, żon, narzeczonych. Ileż z nich stało się ostatnią pamiątką...

Charakterystycznym jest wreszcie wiersz p. t. „Do apelu", należący do cyklu opowieści. Powstał już po wojnie, o czym wnioskować można z pierwszych słów:

Boje dawno przegrzmiały, groby jeno zostały,
...Nowe czasy nastały, nowe życie.

Poeta przywołuje do siebie młode pacholę, aby mu prawić baśnie... W noc listopadową, głuchą i ciemną, wstają z mogił żołnierze, tacy sami jak byli w godzinie śmierci, budzą się na głos trąbki. Idą szeregi za szeregami, by stanąć w rocznicę do apelu. Poeta widzi ich takimi, jakimi widział ich w wirze walk i słyszy, że go wołają. Na ich zew mówi:

Pójdę duchy ja z wami jak dawnymi laty,
Czas i na mnie stanąć do apelu.

Poeta więc, mimo że nowe zaczął życie, zachował duchową łączność z towarzyszami broni, wspomnienia odżywają w nim, wracają. To jest cały jego świat. Zdrowie, które złożył na ołtarzu ojczyzny, nie dopisuje mu, czuje, że czas mu iść do tych, z którymi stawał w jednym szeregu. Jego wyobraźnia poetycka pracuje i nie może zadowolić się wrażeniami codziennego życia — wraca myślą do swych braci żołnierzy, bo ci go najlepiej rozumieli i on ich także.

Nie skarżyli się nigdy! O nie!

Żołnierz polski nie umiał się poddawać rozpaczy. Wiara, miłość, wolność — to ich hasła. Oddali to co mieli najdroższego. Sam poeta to jeden z tych zapaleńców, co wierzył, „że na wolnej ziemi wstanie człowiek wolny" — i zwyciężył.

Słyszycie? Duchy wzywają nas do apelu!
Nas młodych na przyszłość jasną!
Mamy wolną Polskę — już jej nie oddamy!
Wszyscy staniemy do pracy — jak karni żołnierze.
Wszak rozumiemy, że Polska — to my!

Wanda Trojanowska (VIII.)

Sen Jurka Toporowskiego.

Przystrojony w szmaragd rozkwitłej zieleni, ubarwiony tęczowym kobiercem kwiatów i lasów żywicznym zapachem przesycony świat, kąpał się w ostatnich blaskach zachodzącego słońca.

Rozedrgane złoto słonecznych promieni pieściło miłościwie, w lekkich podmuchach wiatru kołyszące się konary starych drzew, co z wiosną zbudziły się znów do nowego życia, muskało łagodnym tchnieniem trawy, szare polskie zagony ścielące, kładło łagodny pocałunek na srebrzyste wstęgi potoków, co z cichym szmerem płynęły w siną, nieznaną dal widnokręgu.

Cały świat tryskał radością i życiem.

Na skraju lasu, co się ciemnozieloną plamą drzew potężnych rozpostarł, rozłożyła się na spoczynek kompania legionowa.

Chłopcy młodzi, żądzą czynu i walk dyszący, o twarzach spalonych od wichru i słońca, o dziecinnych niemal rysach, wyciągali się zmęczeni na zielonej murawie lasu i zasypiali, strudzeni ponad swe siły. Po chwili było już cicho.

Od czasu do czasu zmieniały się tylko czujki na swych stanowiskach i słychać było miarowe chrapanie śpiących chłopców. A dowódca czuwał. Przechodził ostrożnie między śpiącymi, uśmiechał się do tych twarzy jasnych, dziecinnych, jakby zgadując ich sny. Czasem przystawał i wpatrywał się dłużej z ojcowską prawie miłością w twarze swych żołnierzy.

Nad jednym zatrzymał się dłużej. Nie dlatego żeby był młodszym od innych, ale ten go najwięcej obchodził, jego najbardziej kochał. W boju dzielny i odważny, porywający innych bezprzykładnym męstwem, idący z furią do ataku i zawsze tam walczący, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo. Teraz zmęczenie go przemogło i zasnął. Rysy jego młode straciły już dziecinny swój wyraz, zaostrzyły się i stały prawie męskimi. Zwichrzona czupryna kładła się jasnymi pasmami włosów na spalone wiatrem czoło.

Jurek Toporowski śnił. Był oto, jak dawniej, w rodzinnej swej wiosce na wakacjach. Siedzi z matką staruszką w pokoju, który przedwieczorne zorze zamieniły na szkarłatną komnatę z bajki — i marzy. Marzy o przyszłej swojej pracy dla ludu, który całą głębią swej młodej duszy ukochał... Wtem do pokoju weszła dziewczyna,

Była mniej więcej we wieku Jurka. Miała duże niebieskie oczy i długie jedwabiste rzęsy, rzucające cień aż na policzki. Drobną łagodną twarzyczkę okalał pierścień kasztanowych, lekko zwichrzonych włosów, a złożenie małych, delikatnie skrojonych ust nadawało jej wyraz zadumy. Była naprawdę piękna, a urok jej podnosił skromny ale ładny krakowski strój ludowy, który jakby umyślnie dla Jurka włożyła.

Jurek uradował się widokiem dziewczyny. Wszak była ona towarzyszką jego zabaw dziecinnych a teraz jego narzeczoną, którą pokochał miłością pierwszą, czystą i wierną. I ona go kochała gorąco, a nawet o tyle silniej, o ile kobiety głębią swego uczucia przewyższają mężczyzn. Potoczyła się rozmowa, snuły się obrazy chwil pięknych, szczęśliwych, rodziła się cudna sielanka przyszłości.

Nagle dziewczyna, spojrzawszy na bluzę Jurka, na której szkarłacił się ostatni blask zorzy — zbladła.

„Ach! na twej piersi krew!“ — krzyknęła — i zemdlała...

Jurek szeroko otworzył oczy, zerwał się i zobaczył przed sobą postać dowódcy.

„Panie kapitanie! Melduję posłusznie, że... to... nie było nic...“ wyjąkał i zmieszał się jeszcze bardziej.

Kapitan pogładził go po rozpalonej głowie. „No, zapewne marzyłeś, kochany chłopcze“ — powiedział, nie przeczuwając, jaki Jurek miał sen. —

Wtem zatrąbiono na alarm. Nieprzyjaciel otaczał z dala las. Wobec znacznie przeważających sił wroga kapitan zadecydował odwrót.

„Chłopcy — zawołał, gdy stanęli na alarm — musimy się wycofać, ale będziemy się bronić z lepszej pozycji. Trzeba jednak, by część z was tu pozostała i zatrzymała nieprzyjaciela, byśmy mieli czas zająć dogodne stanowisko. Kto na ochotnika? Wystąp!“

Wystąpiło dziesięciu szeregowych, wszyscy młodzi, śmigli, odważni. Ale nie było wśród nich Jurka. Kapitan spojrzał z wyrzutem na resztę i znów dłużej swój wzrok na Jurku zatrzymał. A jemu się zdawało, że czyta w nim zdziwienie, pogardę i zawód. Spłonął cały bo wstyd mu się zrobiło w duszy samego siebie.

„Panie kapitanie! Kapral Jerzy Toporowski prosi posłusznie o oddanie mu komendy nad oddziałem, który tu nieprzyjaciela zatrzyma!“ Z tymi słowami wystąpił z szeregu.

Na twarzy kapitana wyczytał zadowolenie i uznanie. Sam jednak był dziwnie niespokojny, w uszach dzwoniły mu wciąż słyszane we śnie słowa ukochanej dziewczyny: „Na twojej piersi krew!" Nie o siebie się bał, żal mu było cichych samotnych łez matki staruszki i płaczu niebieskich oczu. Ale nade wszystko kochał swój honor żołnierski i swego dowódcę.

Za chwilę słychać było gromki głos Jurka: „Zastęp na moją komendę! Nieprzyjaciel naprzeciwko! W tyralierę!"

I wnet zaczęła się strzelanina, z razu wolna i jakby nieśmiała, stopniowo wzmagała się, aż wreszcie przeszła w nieustanny grzechot karabinów, któremu od czasu do czasu wtórował posępny huk armat. Od dymu i prochu ziemia ginęła sprzed oczu, rozgrzane lufy karabinów paliły ręce, ramiona bolały od uderzeń kolb.

A strzelcy pracowali, poczerniali od potu, prochu i krwi, wpadli w jakiś szał bitewny, walczyli na śmierć i życie.

Podczas gdy Jurek ze swym zastępem dokazywał cudów waleczności, tymczasem kompania wycofała się szczęśliwie i zająwszy dogodne stanowisko, poczęła prażyć nieprzyjaciela, zwłaszcza że większe siły przyszły jej z pomocą.

Jurek widząc, że zadanie spełnione, podniósł się. „Chłopcy — zawołał — rozkaz wykonany. Kompania ocalona. Pojedynczo wycofywać się, bo nas osaczą!"

Wtem krótki — jak mgnienie oka — świst — i Jurek padł trafiony w serce — a jego pierś ubarwiła młoda, czerwona krew...

— — — — — — — — — —

Szkarłatne zorze pozachodnie skąpały w czerwieni świat, otuliły blaskiem pożegnania cichą, samotną Jurkową mogiłę. Wiatr tylko nad nią zawodził smutną żołnierską piosenkę:

...Już ciebie trębacz nie wezwie do boju,
Nadszedł wędrówki twej kres,
Tylko twa luba nie zazna spokoju,
Matce nie otrze nikt łez.

— — — — — — — — — —

Na świecie nic się nie zmieniło. Wiosna, jak przedtem króluje nad spowitą w czar zieleni i słoneczne blaski ziemię. Tylko hen daleko, serce matki po stracie ukochanego syna bić przestało, a niebieskie oczy dziewczęce żalu zalały łzy...

Wł. Sala.

Kącik humoru.

Urodziłek sie wojakiem...

(humoreska)

Urodziłek sie, to wiecie i prowda, bo skąd bym sie wzioł, ale i to nie bez racyje, żek nie przyseł na ten zakiermaszony świat tak zwycajnie jak pospolite bachory.

Ale jo mom scęście. Zek ino światło uźrol, a beło to 1. kwietnia, prima japrilis cy tam jako... to zaraz wsyćkie baby zaceny mi przepowiadać, cym bede i jak mi bedzie.

Jedna beło tako, co sie koniecnie uparła, ze bede księdzem i ani telo z tego utargować nie dała, cobyk przynajmniej organistom zostoł. Inny sie zaś uwidziało, zebyk sie na połete naucuł.

Jo se ta spokojnie lezoł i swoje w głowie mysloł: wy sie kłóćcie kie kcecie, ale to se pamietojcie, ze wase babskie godanie psu na buty i ze jo sie urodził na prima japrilis.

— Ckojcie, becie miały niespodziewanke. —

Był juz cosi drugi rok wojny, to ludzi trza było huk. Wsyćkie górole zbiegli ze swoik ubocy i groni i w legionych tłukli Moskoli pod Limanową, Gorlicami i Nowym Sączem. Ka sie dało.

Ostały doma same baby i jo—ksiądz—poeta—i coś tam jesce. Nazywali mnie wtedy „on“, co niby znacyło jo, ale dy tak wse nie bedzie...

— 8-go kwietnia było pikno wiosniono pogoda i niedziela, a ze sie tak trafunkiem zdorzyło, ze śwarny ułon na urlop przyjechoł, to mnie zanieśli do kościoła na krzest święty, a nie wiem czy i nie bojowy, bo krzysny był żołnierz i wojna była. Kieby nie on narukował, toby mnie pewnie same baby do krztu trzymały.

Już wtedy sobie umyśliłem, ze nicym innym jak tylko żołnienierzem ostonę i to polskim żołnierzem. Bo przecie na tom sie we wojne urodził, tuz przed bitwami nad Styrem i pod Opatowcem.

Jak mnie mieli do krztu nieść, to poceli rozmyślać i študerować, jakie mi dać imię.

Przecytali cały kalendorz ale nie było takiego, coby do mnie pasowało, aż wybrali Stanisława, bo im sie to najbardziej podobało, ale mnie sie nie widzi, by to było ładne, bo mnie nieraz cećjakie chłopaki bez to wyśmiewali.

Wojna sie skończyła i aż mnie wstyd, że bez ten cas w chałupiem przesiedzioł.

Ale cy to moja wina, ze mnie jakimiś powijakami powiązali?

Cy bali sie bym nie polecioł tam, ka sie bił ociec? Ale co z babami poradzi.

Kie już Polska była gotowa, a jo telo siły mioł, coby te powijaki potargać, zaconem na gwałt rosnąć — i jest mnie już ze trzy łokcie. Cekom ino by sie kany co nawineło, bo ciupaga w ręcach zbyrcy i rwie sie.

Ale jesce nie cas, az nastarsy rycerz — hetman na nas skinie... Wtedy zlecimy od kochanych Tater jak ojcowie nasi.

Teraz pracujemy ka nam kazą gazda, bo siły nam trza wszelakiej.

A kie pudziemy bić, to wszyscy, nawet kobiety doma nie ostaną i te wygode bedzie mioł poniektóry, ze go powijakami ściskać nie bedom, bo i one na wojacke pudą.

Ale co jo, to na swoim postowię.

Stanisław Kiczmal (VIII.)

Komisja redakcyjna: *Zofia Broszkiewiczówna, Wanda Trojanowska, Wacław Sowa, Aleksader Wilk.*
Opiekun: *prof. Ludwik Werszler.*

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.